

Pismo to wychodzi
trzy razy w tygodniu
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek, o drugiej
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 366
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreibera.

PIĄTEK 28 WRZEŚNIA

N^{RA} 11.

1838 ROKU.

TOURVILLE I ANDRONIKA.

USTĘP Z DZIEJÓW

FRANCUZKIEJ MARYNARKI.

PRZEZ' EUG. SUE.

(DOKOŃCZENIE.)

«Biędna Andronika!» — «Ja
toż samo powiadam, że biędna,
ale czekaj tylko końca panie de
Vancy. Nasz Tourville tedy pły-
nął sobie przy rozwiniętych ża-
glach Śródziemnym morzem do-
syć szczęśliwie, ale s ciężkiem
sercem, gdy oto majtek zosta-
jący na straży, postrzegł zara-
zem trzy wojenne okręty. Byli to
tunetańscy korsarze. Zapomnia-
łem dodać, że Tourville, dla
swój waleczności, już na wy-
spie Syfanto został mianowany
porucznikiem pana Artygny, do-
wódcy tego samego tureckiego
okrętu, do którego zdobycia nasz
rycérz tak dzielnie się przyłożył.
Ponieważ Tourville pierwszy
był, który odbił od lądu, a za-
tém okręt, na którym zostawał,
stanowił straż przednią, a poczei-

wy Cruvillier z okrętem «*Sainte
Ampoule*», równie jak Hocquin-
court z «*Gwiazdą Dyanny*», jako
straż odwodowa, płynęli za nim.
Artygny rozpoczął walkę, ale
bezczelna kula działowa była tak
grzeczną, że zdjąwszy biędnemu
Artygniemu głowę skarku, po-
rucznika Tourville natychmiast
zrobiła kapitanem okrętu. Tym
sposobem nasz roskochany Se-
ladon został kapitanem, a że nie-
miał potrzebnego w téj mierze
doświadczenia, poruczył stérni-
kowi i najstarszemu z majtków,
kierunek okrętu, sam zaś zaj-
mował się jedynie zachęcaniem
do boju osady, co mu szczęśliwie
się powiodło. Ale jak stérnik tak
i najstarszy majtek, obadwaj ra-
zem nie mieli tyle doświadczenia
ile miał Artygny sam jeden, który
doskonałym był kapitanem. W o-
kręt Tourvilla biło więcej kul
nieprzyjacielskich, niżli Tourvil-
le odsyłał ich z swojej strony;
przytém okręt jego stawał zawsze

do nieprzyjaciela bokiem, zamiast czołem; Tourville przeciw temu niémógł bynajmniej nie poradzić, ludzie jego padali s kaźdój strony, a jego okręt był podziurawionym jak rzeszoto i miał już zatonać... gdy razem, czy przez niezręczność Tunetańczyków, czyli téż przez szczęśliwy przypadek, kula działała wpadłszy do prochowni okrętu tunetańskiego, wysadziła ich wszystkich razem w powietrze i szczątkami ich okryła pokład okrętu Tourvilla. — «Co za szczęśliwy, niespodziany przypadek!» — «To niebyło żadnym przypadkiem, mój de Vancy i owszém powinienes w tém widziéć wyższe zrządzenie opatrzości, nagradzającój rycérza, że niepozbauił ojca jedyne go dziecięcia... Ale wróćmy do skutków téj potyczki. Po wysadzeniu w powietrze nieprzyjacielskiego okrętu, noc zapadła, Cruvillier i Hocquincourt zniknęli z oczu, wiatr powstał, Tourville miał na swoim pokładzie wielu rannych, stérnik nieumiał dobrze użyć zdobytego okrętu, zwłaszcza, że był w utarczee mocno uszkodzonym. Postanawiają więc do Syfaato, jako najbliższego zawinąć portu.» — «Jezus MARYA!

Otóż to mi był požądany powrót dla biédnej opuszczonej! — «Za raz się dowiesz, panie de Vancy: Nasz kawaler zawija do ładu, idzie do domu starego Jany, a w progu pozdrawia go stara Murzynka témi słowy: «mój pan umiera!» — Tourville zastaje starca prawie nieżywego w pokoju córki. Na widok jego zrywa się zdrtwiały starzec z łóżka i krzyknąwszy bolesnym głosem: «Moja córka!» — mdleje i upada na łóżko. To zapytanie było dla naszego rycérza, który s pewnością spodziéwał się Andronikę w domu zastać, mową hebrajską. Teraz dopiéro opowiedziała mu całą rzecz Murzynka: że tego samego poranku, gdy okręty odpłynęły, a Tourville niepowrócił, udała się Andronika do portu. Tam przekupiwszy jakiegoś starego żeglarza, wsiadła z nim i z jedną ze swoich kobiet na mały statek i tym sposobem dostała się na pokład jednego z odpływających okrętów. Wczasie tego opowiadania podniósł się stary Jany i zawołał umierającym głosem: «Gdzież jest moja córka!» lecz zamiast powtórnego zemdlenia, czynił Tourvillowi najprzykrzejsze wyrzuty. Tkliwy Seladon

uczul się tém bardzo zmartwionym, ile że tak świetny dał dowód poskromienia swój namiętności. Gdy Jany odzyskał cokolwiek sił więcéj, oświadczył mu Tourville, aby się udał na pokład jego okrętu i szukał swojej córki, a jeżeli jej nieznajdzie, dodał, sam jej szukać będzie. Stary Jany przekonawszy się, że Tourville nieuwiózł mu córki, przyjmuje to oświadczenie, porzuca na wyspie Syfanto dom, znaczny majątek i przyjaciół, i narażając się na wszelkie przygody morskie, płynie z młodym korsarzem szukać wspólnie drogiéj straty. Żeglarz, który to mi opowiadał, zapewniał mnie, że ten Jany był już podeszły człowiek, mający długą, siwą brodę, był wzrostu wysokiego, lecz bardzo chudy, nosił zawsze czarne suknie, i przez cały czas krążenia po morzu, wzięwszy swą głowę w obie dłonie, albo płakał, albo téż wy tężał wzrok w przestrzenie morskie, ażali niezobaczy jakiego okrętu, na którego pokładzie mniemał znaleźć swą córkę. Skarżi i narzekania jego były tak żalossne, iż obudzały litość w całej osadzie okrętowej, i niebyło jednego, któryby się nierozrze-

wnił, gdy z boleścią rodzicielskiego serca zawołał: «Córka moja, nieszczęsna córko moja.» — Stém wszystkiém niecheiałbym przysiądz, ażali rycérz niezyczyl sobie potajemnie, aby czart porwał tego zgryzliwego starca, i czy nieżałował, że w samej rzeczy nieuwiózł jego córki, gdyż tym sposobem byłby się przynajmniej pozbył swojego płakawego towarzysza, który ani na krok go nieodstępował. Narescie, Tourville krążąc po morzu nadaremnie przez dni czternaście, postanowił zawinąć do Zanty w nadziei zastania tamże s Hocquincourtem Cruvilliera, i zasiągnięcia od nich na wszelki sposób wiadomości o Andronice. Jany i rycérz zawinęli razem do portu. Lecz djabeł nadał, że Hocquincourt i Cruvillier odpłynęli już stamtąd przed trzema dniami, jednakże na przypadek, jeżeliby Tourville przybył na wyspę Zantę, zostawili do niego list u dowódcy jednego statku. Możesz sobie wystawić, że jak ojciec, tak kochanek rzucili się skwapliwie do czytania listu. Był on pisany przez Hocquincourta i zawierał co do treści rzecz następującą: «Piękna Andronika po-

strzegłszy, że okręty odbiły już od lądu, udała się na małym statku wpogoń za najbliższym, który jeszcze dopędzić mogła. Lecz, gdy Hocquincourt jej oświadczył, że okręt Tourvilla poprzedził wyprawę dla wzięcia okrętów nieprzyjacielskich; prosiła go, aby tak długo zostać się mogła przy nim na pokładzie, dopokądby jego okręty nie złączyły się z okrętem Tourvilla. Hocquincourt namienił w liście także Tourwillowi: że gdy ich utarczka rozdzieliła, a on nie mógł się doczekać go w Zante, zniewolony był popłynąć do Malty i spodziewa się, że go tam rycérz niezawodnie zastanie. Jany i Tourville nie tracąc czasu rozwijają żagle i sterują do Malty. W podróży téj musieli odbyć dwie walne potyczki, sktórych Tourvillie wyszedł szczęśliwie. Przeciwnie stało się s pocziwym Janym. Starzec ten zatopiony w myślach o swojéj córce, nie dał się sprowadzić s pokładu i został śród morderczego ognia mocno ranionym w głowę. Narescie po wielu przygodach i przeciwnościach dostają się do Malty. Ale na nieszczęście nie było tam ani Hocquincourta, ani Cruvil-

liera. Otóż pocziwy Jany wycieńczony morską podróżą, postanawia tam zakończyć ze zgryzoty życie, i umiera istotnie. Tourville zasmucony tą stratą, dla rozerwania się wstępuje w służbę jednego sławnego neapolitańskiego korsarza nazwiskiem Caryniego, dowodzącego okrętem o pięćdziesięciu czteru działach, który płynął pod banderę maltańską. Krótko mówiąc, Tourville w towarzystwie s Carynim wziąwszy kilka okrętów nieprzyjacielskich, popłynął do Wenecyi. W drodze spotkali okręt turecki, uderzyli na niego, zdobyli go i zgadniej, kogo znaleźli na samym spodzie okrętu? oto — piękną Andronikę! — » Piękną Andronikę! A to cud prawie! Jakby wyrachowany skutek teatralny. » — « A przecież przekonasz się, że historia ta jest całkiem prosta i naturalna. Hocquincourt odpłynawszy z Zanty, został od Turków pobitym, a przeto seałą osadą okrętu i s piękną Androniką w niewolą wziętym. Z okrętu Hocquincourta przeniósł korsarz turecki piękną Andronikę na okręt, który właśnie zdobył Caryni, a który miał ją odwieźć do seraju

sultana. Kochankowie uściskali się najserdeczniej, piękna Andronika oplakiwała skon swego ojca, a Tourville przybywszy do Wenecyi, umieścił ją w klasztorze, gdzie miała przepędzić czas żaloby, ponieważ przedsięwziął sobie ożenić się z nią i wynieść ją do zaszczytu szlacheckiego, zwłaszcza, że po swoim ojcu znaczny odziedziczyła majątek. W przeciągu tej żaloby przedsięwziął Czyni nową wycieczkę wojenną, a w morderczym boju został Tourville tak niebezpiecznie ranionym, że pogłoska o jego śmierci rozeszła się po całym Wschodzie, gdzie dla waleczności swojej już był sobie sławę zjednał. Nakoniec po wielu cierpieniach i trudach, zabawiwszy przez dosyć długi czas w Malcie, przyszedł do zdrowia. Wsiadł na okręt i powrócił do Wenecyi. Możesz sobie wystawić z jaką trwogą serca; albowiem mógł się słusznie domyślać, że wieść o śmierci jego doszła już była niezawodnie do uszu pięknej Androniki, a ten ostatni cios mógł być niebezpiecznym, a nawet śmiertelnym dla tak tkliwej istoty, która już tyle ucięrpiała. Nareszcie drżący z bojaźni i nadziei

przybywa rycérz Tourville do Wenecyi. — «Biédny rycérz!» rzekł de Vancy, ociérając z łez oczy, «zapewnie czynił sobie wyrzuty, że przez swoją lekkomyślność stał się równie sprawcą śmierci ojca jak i córki.» — «Ja sądzę, mój de Vancy, że on sobie jeszcze gorsze z innego względu czynił wyrzuty... Nareszcie przyszedłszy do klasztoru, który Andronika za przybytek sobie obrała, żąda pomówić s ksienią.» — «Przebacz panie,» rzekł de Vancy, «jestem w bardzo wielkiej trwodze. Rzecz się zbliża do końca, który bardzo smutnym być może!» — «Teraz zobaczysz, mój de Vancy,» rzekł Bivonne przeciągłym głosem, mając największe w tém ukontentowanie wprowadzać wiekawość swojego sekretarza. «Tourville stanął przed ksienią, która ujrawszy rycérza, niezmiernie się przełękła.» — «A cóż, niezgadłem? biédna Andronika!» — «Ty jesteś bardzo przenikliwym, mój de Vancy. Ale wróćmy do ksieni.» «Ah biédny kawalerze!» rzekła ksienia do Tourvilla. «Andronika sądziła żeś umarł. Wszystko przepadło!» — «Biédna Andronika!» zawołał de Vancy żało-

snym głosem, a Bivonne niezważając na to, mówił dalej. — «Już po niewczasie; wszystko przepadło!» rzekła ksieni do Tourvillla. «Andronika sądząc, żeś rycérzu zginął i niemając najmniejszej nadziei widzenia cię więcéj...» — «O! biédna, biédna Andronika!» powtórzył de Vancy żałośnie. — ... «Przed dwoma miesiącami...» — «I cóż?» wrzasnął na całe gardło rycérz do ksieni... — «Zaślubiła sénatora tego miasta, hrabiego Barbiniego.» — «Ależ najlaskawszy panie! czyż to być może?» zawołał de Vancy pełen zadziwienia. — «Bardzo być może, mój de Vancy, tybyś był życzył sobie, abym jéj romantycznie życie przyozdobił końcem traicznym. Ale cóż w to poradzisz, mój de Vancy? Spomiędzy stu kobiet, chcących umrzeć z żalu za straconym kochankiem, jest dziewięćdziesiąt i dziewięć, które są hrabinami Barbini.» — «Ależ przynajmniej choć jedua z nich umrze!» rzekł de Vancy z miną tryumfującą. — «Umrze, ale z żalu, że nieznalazła jakiego hrabi Barbiniego.»



W DZIĘN POŻEGNANIA.

Ludzie i losy
 Są jak wiatr i liście,
 Czasem widują aniołów, niebiosy,
 I zakazane im Edenu wnijście,
 Czasem znowu wiatr wionie
 I leca daleko
 Spocząć w zimnej, obojętnej stronie,
 Skąd ich już losy nieprędko wywleką.
 Mówią — człek idzie za rozumem, wolą,
 Gdzie chce dążyć — albo stroni! —
 O! nie, bo człowiek swoją niekieruje do-
 (lą,
 A eugle wozu życia, winnej leżą dłoni.
 Ta dłoń je puszcza, kieruje lub wstrzy-
 (ma,
 Swémi, nie jego rządząc się oczyma.
 A biédny człowiek na życia rydwanie,
 Siedzi i patrzy. Nieraz widzi gaje
 Łąki i drzewa. Chce spocząć, niestanie,
 Choć laje koniom i woźnicy laje.
 Wóz leci ciągle — Gdzieś w przepaści
 (chłodnej,
 Kiedy się konie, wóz i on wywróca,
 Gdzieś w stronie zimnej, bezludnej i
 (głodnej
 Wóz i rumaki dopiero go rzuca.
 A gdy z niej wyniść zeche utrapiony,
 Żeby mógł zdążyć do rajy swojego,
 Znowu go porwą i w dalekie strony
 Biegą z nim znowu i biega.
 Nieraz on patrzy i nieraz on wdycha.
 Tam w gaju
 Przy ruczaju
 Domek się biały uśmiecha,
 Domek biały — nieduży.
 A w koło drzew gałązki,
 A skomina się kurzy,
 A gołębi i gąski

Spokojnie chodzą w kolo.
Kwiatki na oknach witają go wonią,
Wszystko tak lubo, wszystko tak weso-

(to —

Chce stanąć, rumaki gonią
I gdy się jeszcze raz spojrzeć odwróci,
Las czarny tylko staje koło niego.
A on zapłacze, a on się zasmuci.
A konie biega i biega.
Nieraz mu dusza zboleje podróżna.

Tam w dolinie

Rzeka płynie —

I witają go oczami

I żądają go sercami,

A stanąć niemożna!

Choć dom ten znajomy,

Choć dach ten go skrywał

Przed burzą i gromy;

Choć pod nim przebywał

Roskosznych chwil tyle!

Lecz próżne żądanie —

I próżne lzy jego —

Wóz jeszcze niestanie,

A konie biega i biega —

I padną aż — na mogile!

A czasem do koła

Kraina żalobna,

Ni czleka, ni siola —

Pustyni podobna,

Na której roślina

Ni zwierze nie wzrośnie,

Skalista dolina —

Co zimą i w wiośnie,

Jednaka, milcząca,

Bez ruchu i życia.

Wóz skały potrąca

I piasków zamięca.

A dusza podróżna,

Chce prędkiej, biędz dalej —

• Niestety, niemożna!

Bo eugle wstrzymali.

Gdzie głowę odwróci,
Gdzie oczyma rzuci,
Smutno, jednakowo,
Szare niebo nad głową,
Szara pod nogami ziemia,
Szaro w oddaleniu.

A na posępnym niebios sklepieniu
Księżyc czerwony chmurą się za-
(ciemnia.

Wóz już stanął na równinie,

Wiatr świszcząc,

Leją dęszcze,

Jak w sędnej godzinie —

Wóz stanął — albo powoli,

Gdy mu się ręka losu poruszać pozwoli,
S pustyni jedzie w pustynie.

Jedzie — i nie da stanąć aż w śmierci
(godzinie

W szczęśliwą pokoju chwilę,

U bram nowego życia — na mogile!!

J. J. Kraszewski.

MIASTO W WODZIE.

Miasto Callao przy Lima w Peru zostało roku 1746 przez trzęsienie ziemi zniszczone i przez morze pochłonięte. Podczas mojego pobytu w Lima mówi doktor Vollmer (w swoim dziele: *Natur und Sittengemälde der Tropenländer*) miałem po dwa razy sposobność zwiędzenia tego miejsca. Kiedy morze było zupełnie spokojnym, a słońce bliskie zachodu, można było wyraźnie widzieć Callao na samym dnie; nieznac wcale aby miasto było zburzo-

ném, są ulice i domy, nawet kościoły i wieże pod wodą, tak jak Pompei i Herculanium pod ziemią, a cieleńta morskie i ryby różnego rodzaju wpływają do domów oknami i drzwiami ugniając się za żerem. Gdyż że tak rzekę, na gładkiém takowém pływał zwierciadło i miał pod sobą osobliwsze widowisko, jakiego już zapewne niebędą uczestnikami, zaledwie mógłem pomysłéć, by można nawet przypuścić, aby tam chodzili kiedy ludzie, gdzie dzisiaj tylko spostrzegać się dawał rój morskich stworzeń. Sześć tysięcy ludzi znalazło tu grób swój; s całej ludności miasta dwóch pozostało przy życiu, sktórych jeden był muzykusem i właśnie z swym instrumentem szedł na wesele, gdy się wzniosły olbrzymie wały nad miastem i pochłouły je. Niemoc ogarnęła jego zmysły. Miasta niebyło ani śladu, zapadło się s całym swoim obwodem. Gdy się szóstego dnia morze przeczyściło, pomiarkowali naprzód rybacy pod sobą miasto, które od tąd stało się osadą polipów i innych istot morskich, s początku dla wielości trupów znajdujących

się w domach, a następnie ile było bezpieczném miejscem schronienia. Niemożna było żadnego nurka namówić, ażeby się spuścił i wydobył skarby, jakie się tam niewątpliwie pozostały; na brzegu jednak stoi straż, ktorej obowiązkiem jest zbiierać wszystko, co tylko morze wyrzuci.



OBRAZY Z DYAMENTÓW.

Pewien jubiler w Medyolanie dla uświetnienia wieczorów iluminacyjnych, zrobił dwa obrazy, mające niemal trzy stopy wysokości, i złożone z licznych klejnotów, które najmniej półtora miliona franków kosztują. Pierwszy obraz przedstawia orła cesarskiego, tudzież herb lombardzko-weneckiego królestwa; nad orłem wznosi się korona austriacka, tudzież napisy i cyfry Ich Ces. Mości z samych brylantów. Drugi obraz przedstawia spaniały dyadem z brylantów w kształcie liścia, opasany wawrzynami z smaragdów. Pomiędzy temi znajduje się naszyjnik z najcenniejszych pereł 150,000 franków wartający.